

Na Pamirach i w pustyni Raskiemu.

3

POLOWANIE NA PANTERĘ.

Na trzeci dzień marszu od przełęczy Iły-su w miejscowości Kaindyny Auzy (Brzozowe ujście) 3253 m. n. p. m. — znaleźliśmy gorące źródła, tryskające wśród wspaniałych zarośli topoli, brzozy i olbrzymich tamaryszków, stanowiących nieprzebyte gąszcze. Stęskniony do zarośli leśnych, których nie widzieliśmy od kilku miesięcy, zachęcony obfitym źródłem miękkiej, gorącej wody, o temperaturze +47° C. postanowiłem zatrzymać się tu na parę dni, żeby dać ludziom wykąpać się w tej naturalnej łaźni, wyprać bieliznę i odpocząć po pamirskich zimnach. Wykopaliśmy głęboką jamę do kąpieli i przepuściwszy przez nią część wartko bieżącego gorącego źródła otrzymaliśmy wannę z ciągle świeżą gorącą wodą, — w której pluskaliśmy się całemi dniami. Pomimo że doszliśmy do tego miejsca dopiero 10 października star. stylu, lecz wysokie skały wązkiej doliny zakrywały nas od zimnych wiatrów, słońce we dnie prażyło jak latem, a obfitość suchego drzewa pozwalała nocą rozpalać przed namiotami ogromne ogniska, które podtrzymywane przez dyżurnego wartownika, ogrzewały cały namiot.



Gen. Grąbczewski oraz chiński gen. Dugn Dażeń na Aliczur Pamirze.

12 października kapral kozacki Kudinow, który towarzyszył mi już w podróży mojej do źródła rzeki Indus, i w czasie wypraw moich stale zarządzał wojenną ochroną wyprawy, — zameldował, że w nocy zginął baran i że pomimo starannych poszukiwań śladu zaginionego zwierzęcia nie odnaleziono. Przypomniałem sobie, że w nocy zbudził mię tętent baranów, które w popłochu przebiegły

z jednego kąta obozu na drugi. Chwyciłem za broń, ale widząc palące się ognie i słysząc głos wartownika, który uspokajał barany, nie wstałem i wkrótce zasnąłem. Obejrzawszy teren, i wiedząc że baran w nocy za nic nie oddzieli się od stadka, doszedłem do przekonania, że w gąszczach w najbliższym od nas sąsiedztwie, przebywa jakiś silny i śmiały drapieżnik, który pomimo ogni porwał barana prawie że ze środka obozu.

Natychmiast więc zarządziłem szczegółowe przeszukanie gąszczy, tem łatwiejsze, że rzeczka Kaindy biegła skalistym wąwozem przerzucając się od jednego boku wąwozu do drugiego, dzieląc gąszcze, co ułatwiało obławę. Było nas 13 ludzi w ekspedycji! Jednego zostawiłem w obozie, 10 ludziom pod zarządem preparatora Konrada kazałem przetrząsnąć po kolei każdą część gąszczy, a sam z podręcznym kozakiem zajmowałem takie stanowisko żeby widzieć wszystko, co mogło wyskoczyć z gąszczy. Pierwsze dwa mioty nie dały rezultatu: wybiegło kilka zajęcy i ładna kuna, ale do nich, nie strzelałem. Nie strzelałem również do górskich kurek, które z głośnym kwokaniem zrywały się z krzaków i przelatywały na drugą stronę wąwozu.

Naraz, przy zakładaniu trzeciego miotu, preparator, który rozstawiając ludzi stał trochę z boku gąszczy krzyknął mi po niemiecku że „coś szmyrgnęło" z gęstwiny na zbocze góry. Przebiegłszy pędem wbród rzeczkę zobaczyłem o 50—60 metrów od siebie wspaniałą azjatycką panterę, która nie spiesząc, jakby niechętnie, wdrapywała się w górę, ciągnąc długim ogonem po ziemi. Posłałem jej kulę z ekspresu w chwili gdy na sekundę zatrzymała się obok większego odłamu skały i zwróciła głowę do nas, jakby namyślając się, czy nie lepiej — nie uważając na nas wrócić do gąszczy. Po strzale przypadła za skałą i tylko ogon nerwowo drgający przyciągnęła do siebie. Myśląc że jest ranną i czai się do skoku, obszedłem z boku i wspiąłem się na zbocze powyżej leżącej pantery. Nie strzelałem, bo mi szkoda było przepięknej skóry, lecz podchodziłem ku niej ostrożnie w gotowości posłać jej z jednej lufy stożkową kulę, a z drugiej ekspres (trzecia lufa miała zawsze ładunek śrótowy). Ostrożność okazała się jednak zbyteczną. Pantera nie żyła. Kula z ekspresu—przebiła klatkę piersiową i rozerwała się niszcząc wszystkie najważniejsze organy i powodując śmierć momentalną. Pantera była wielkości dużego doga, z ogromną kocią głową i potężnemi łapami. Puszysty ogon był dłuższy od ciała. Skórę miała także puszystą i przytem bardzo lśniącą, koloru ciemno-żółtego, z dużemi czarnemi centkami; brzuch, piersi i kawałek szyi prawie białe.

Z powodu wyjątkowej piękności skóry—spreparowawszy, przesłałem ją przez Beka Sarykolskiego do konsula rosyjskiego w Kaszgarze z prośbą, by przesłał ją Cesarzewiczowi. Po powrocie z podróży następca tronu Mikołaj pokazywał mi wypchaną panterę w gabinecie swoim w Pałacu Aniczkowskim. Później, zdaje się, została ona odesłaną do zoologicznego muzeum przy akademji nauk.

Opisany wypadek potwierdza dane przytoczone przezemnie w „Przeglądzie Myśliwskim", że wielkie drapieżniki Azji nie boją się ludzi, często żyją w najbliższem ich sąsiedztwie, lecz napadają na nich tylko w ostateczności, póki nie sprobują mięsa ludzkiego. Potem polują na ludzi, jak na każdą inną zwierzynę.

15 października dotarliśmy w dolinę rzeki Raskiem Darji, która biegnie wzdłuż głównej osi Himalajów, mając z drugiej strony pasmo gór Raskiemskich, stanowiących jedną z odnóg gór znanych w geografji pod ogólną nazwą Kuen Lunia.

(D. c. n.).

Gen. Bron. Grąbczewski.

Sokół wędrowny w Warszawie.

Wzmianka pani Marji Ejsmondowej o drapieżnikach, chwytających wróble na placu Trzech Krzyży w Warszawie, przypomniała mi sokoły wędrowne, które stale, przynajmniej w pewnych okresach roku, trzymają się w naszej stolicy. Znakomity nasz ornitolog Taczanowski opisuje jedną samicę, która znaną była w Warszawie przez lat kilkanaście. „Od końca sierpnia do marca przesiadywała ona regularnie na gzymsach kościołów: Świętokrzyskiego, Karmelitów na Krakowskiem Przedmieściu, Bernardynów i Świętojańskiego, niezważając wcale na nieustanną wrzawę tych najruchliwszych części miasta i odgłos dzwonów obok się rozlegający. Około godziny 10 przed południem przynosiła regularnie gołębia i spokojnie go szarpała wobec uliczników niepokojących ją krzykiem, klaskaniem i kamykami. Na nocleg miała stałe punkta na tych gzemsach, gdzie o zmierzchu przylatywała. Około r. 1860 znikła i na jej miejsce co zima osiedlają się inne, lecz już żaden nie za

chowuje się tak regularnie, siadają wprawdzie w tych samych miejscach, lecz nie tak stale. Widocznie, że żaden z nich nie zdołał się tak długo utrzymać i nabrać nawyknień do jakich tamten przez długie lata był włożony".

Słowa te pisane były w roku 1882, od tego jednak czasu sokoły wędrowne nie przestały przebywać zimą w Warszawie. Przed kilku laty przechodząc stale co dzień około kościoła Świętego Krzyża na Krakowskiem Przedmieściu, widywałem od czasu do czasu sokoła wędrownego przelatującego w tem miejscu lub bijącego na gołębie. Od trzech lat nie mieszkam w Warszawie, sądzę jednak, że i teraz sokoły te widywać się tam dają. Ciekawem byłoby sprawdzić czy sokoły wędrowne upodobały sobie tylko tą dzielnicę Warszawy czy też spotykają się i gdzieindziej.

Korzystam ze sposobności by podać do wiadomości naszych myśliwych, że w Polsce spotykają się dwa podgatunki (rasy geograficzne) sokoła wędrownego, a mianowicie *Falco peregrinus peregrinus* i *Falco peregrinus calidus.*

Falco peregrinus peregrinus jest ptakiem miejscowym gnieżdzącym się u nas i zimującym. Jego cechą rozpoznawczą jest ta, że ma on nietylko wierzch głowy i kark ale również i policzki czarne.

Falco peregrinus calidus gnieździ się w całej północnej Azji. W przeciwstawieniu do poprzedniego podgatunku, który jest ptakiem osiadłym, sokół ten na zimę odlatuje ze swej ojczyzny. Zimowiska jego znajdują się w południowej Azji. Pewna ilość osobników leci jednak jesienią nie na południe, lecz na zachód i spędza zimę we wschodniej a nawet w zachodniej Europie, niekiedy nawet, zapędza się aż do Włoch i Egiptu. Cechą rozpoznawczą tego podgatunku jest część policzka barwy białej, dzięki czemu na boku głowy tworzy się czarny „wąs", idący w dół od kąta dzioba. Sokół ten naturalnie u nas się nie gnieździ, a spotyka się tylko na przelotach oraz zimą.

Załączona rycina przedstawia ten podgatunek. Czy jeden tylko z nich, czy też obydwa osiadają na zimę w Warszawie tego naturalnie bez zdobycia okazów sprawdzić się nie da.



Sokół wędrowny.

A teraz słów kilka co do polskiej nomenklatury tych sokołów. W czasie gdy nierozróżniano omawianych dwóch podgatunków tego drapieżnika, używano dla niego nazwy „sokół wędrowny". Obecnie sądzę, że racjonalnem będzie stosowanie tej nazwy dla podgatunku *Falco peregrinus calidus,* zaś co się tyczy *Falco peregrinus peregrinus* to nazwa była dotychczas synonimem sokoła wędrownego.

Janusz Domaniewski.

DZIKA GĘŚ.

(*Anser anser).*

(*Dokończenie*).

Zapoźnione gęsi błąkały się ze smutnem gęganiem w ponurych poświstach wichrów jesiennych — tragicznie zwykle kończąc od strzału mniej więcej celnego. Te nasze lęgowe rzesze nie leciały na Deltę Nilu, lecz na Kaukazie — na wybrzeżach Lenkorani zimowały — czego dowodził ich wcześniejszy od innych gęsi powrót do „spławów" rodzinnych. W wyjątkowo ciężkie zimy chyba tylko do Azji Mniejszej zalatywały.

Zdaje mi się nawet, że podobnie do bocianów— pary, którym udało się szczęśliwie powrócić, obierały te same miejsca dla gniazd — na tych samych spławach. Zresztą, może być, było to złudzeniem tylko, jako skutek odpowiednich warunków lęgo-

wych — lecz wysepki wędrowne te same zawsze, były corocznie przytułkiem gęsich par zakochanych.

Co się tyczy zachowania się dzikich gęsi, hodowanych w domu, miałem też sposobność dokonania szeregu obserwacyj.

Nieraz odbierano od pastuchów zrabowane z gniazd gęsie jaja, które musiano podkładać następnie pod kwoki dla dalszego wysiadywania.

Włościanie okolicznych wsi też hodowali nieraz śród swoich domowych dzikie gąsięta.

Pisklęta o kanarkowem puchu—w pierwszych dniach po wykluciu, okazywały ogromną dzikość. Trzeba było je koniecznie trzymać w zamknięciu (tembardziej młode złapane przy matkach na błotach)—lecz wkrótce zastosowywały się bardzo dobrze do nowych warunków życia.

Oczywiście, że osobnikom przeznaczonym do dalszych nad nimi badań, wypadało podcinać później lotki, gdyż jak wilka do lasu, tak dziką gęś do stawu ciągnie. Inne już jako „klapacze" puszczano do rodzinnego stawu.

W kurnikach gąsięta karmiono tak jak swojskie. Lecz, rzecz dziwna i godna uwagi, czy było ich sztuk kilka, czy pojedyńczy osobnik tylko — zawsze trzymały się zdala od swoich domowych krewnych. Toż samo zjawisko zauważyłem śród dzikich gęsi chowanych przez włościan.

Ileż to razy widzieć można było pomiędzy pasącemi się domowemi gęśmi chłopskiemi kilka sztuk smuklejszych, na wyższych nogach, stanowiących samodzielną gromadkę i żerujących na uboczu.

Zwykle staraliśmy się podobnie hodowane sztuki odkupywać od właścicieli — prawo których bardzo problematyczne—osnute było już na czysto bolszewickich metodach. Lecz dowieść, że gęsi z mego, a nie innego stawu pochodziły, nie było można nie złapawszy „eksproprjatora" — „in flagranti".

Chłopstwo, pomimo chciwości nabycia kilku sztuk „za darmo" — oprócz tego żywiło wybitną „ansę" do przedstawicieli pięknego gatunku „anserów" — za szkody, które rzeczywiście czyniły na polach dzikie gęsi, przebywające w podobnych, jak w Wierzchowni, ilościach.

Szkody bywały znaczne — szczególnie, kiedy dojrzewać poczynał młody owies, bowiem kiście z młodem ziarnem stanowiły prawdziwy smakołyk gęsi.

Oprócz tego lęgowe rodziny, zlatujące się nocami, szczególnie na przyległe do stawu pola wydeptywały rzetelnie dość znaczne przestrzenie młodych jęczmieni, owsów i grochu.

Można więc wyobrazić sobie łatwo wściekłość poszkodowanych poczciwych „diadków"[1]) i nienawiść ich do tych, tak drogich sercu myśliwskiemu, ptaków.

To też, uwzględniając realne straty faworytów Kazimierza Wielkiego wypadło corocznie wypłacać im dość znaczne odszkodowania.

Dnia nie było bez skarg i wyjazdów na włościańskie działki przedstawiciela zarządu dóbr celem skonstatowania poczynionych szkód.

Lecz czegóż zamiłowany hodowca nie uczyni dla ochrony tak rzadkich, wspaniałych objektów, gwoli swoich i swych gości rozkoszy myśliwskich i swej uciesze.

W przeciwieństwie zaś do wpół już oswojonych pojedyńcze młode sztuki bardzo lubiły towarzystwo swych pasztetowych i półgąskowych współbraci.

Odbita od stada dzika gąska - zawsze prawie przyłączała się do pasących się swojskich.

Oryginalny zaiste bywał widok, kiedy to na nawoływania pastuszka[2]) „pane! pane! dyka huska je pomiż naszymi" — podchodziło się do stada domowych — i raptem z pomiędzy ich grona podrywała się najprawdziwsza dzika, zwykle na doskonałą metę, rulując po celnym strzale jak kuropatwa wystawiona przez wyżła.

Toż samo miało miejsce i z zapóźnionemi jesiennemi egzemplarzami. Zoczywszy pasące się stado zwykłych domowych gęsi na ugorze, rżysku lub ozimem polu należało podejść i skonstatować, czy też pomiędzy niemi niema i dzikich.

Nie mogłem, niestety, zaobserwować krzyżowania się ich ze swojskiemi, gdyż jakoś tak zawsze fatalnie się składało, że chowane ani razu do wiosny nie przetrwały i uciekały lub ginęły z tej albo innej przyczyny.

Wśród hodowanych przez włościan nie widziałem też nigdy hybrydów. Przypuszczają jednak, że albo zatracały w takiem stopniu pierwotne swe cechy, że nie sposób było odróżnić ich, lub może mając na względzie wrodzony wstręt i odosobnianie się wolnych ptaków od gnuśniejących w niewoli blizkich krewniaków, rzeczywiście krzyżowanie nie miało miejsca. Lecz skądinąd dziwnem by było, że jednak kaczka krzyżówka (Anas boschas)—tak chętnie wydaje mieszańców i łączy się z domową — tworząc pokolenia tyle cenionych na wiosennych polowaniach „krekuch". Dlaczegóżby więc to samo zjawisko nie mogło nastąpić i w stosunku do dzikich gęsi?

W 1914 roku postanowiłem przeprowadzić

---

[1]) W miejscowem narzeczu: chłopów.

[2]) Panie! panie! dzika gąska znajduje się pomiędzy naszemi.

gruntowne badania drogą eksperymentalną tej kwestji specjalnie przeznaczywszy na to kilka sztuk hodowanych, które aż do następnej wiosny miały w zamknięciu doczekać się pory godowej i amorów z wyrafinowanemi przedstawicielkami, cywilizowanego odłamu swego rodu.

Miałem już nie jeden okaz „ad hoc“ oczekujący na owe doświadczenie, lecz wybuch wojny europejskiej—i moje zmobilizowanie—udaremniły możliwość tych ciekawych badań.

Pod względem gastronomicznym stare nawet osobniki jesienią będąc znakomicie utuczone — są wcale smacznemi kąskami—oczywiście po należytem przyrządzeniu. Młode zaś letnie, stanowią prawdziwy przysmak, który spreparowany odpowiednio, nawet przez domowego autoramentu „Vatel'a“ [1]) lub kucharkę i oblany „grzeczną“ butelczyną czerwonego bordoskiego wina—istną rozkoszą być może dla podniebienia zblazowanego nawet smakosza. Wiosenne gęsi, co prawda, których kilka mam na sumieniu (tylko nie z moich terenów)—bywają na tyle twarde i łykowate, że prawie niejadalne. Chyba może jaki mistrz sztuki kucharskiej niezrównany, prawdziwie z Bożej łaski, stojący względem swych talentów na poziomie słynnego aforyzmu „on devient cuisinier!—mais on nait rôtisseur“ [2])—potrafi sobie dać radę z podobnym mięsnym kaloszem.

Co zaś się tyczy piękna i wspaniałego tła tych łowów, darzących rozkoszą niezapomnianych wspomnień w czarnych życia chwilach—to szczęśliwy się czuję, dzięki Bogu Najwyższemu, że miałem te przeżycia radosne w mej przeszłości łowieckiej, które jak tak pięknie o nich mowi poeta-myśliwy Włodz. Korsak odnośnie do głuszca „są tak ściśle związane z duszą Wszechstworza, napełniając świetlistą pogodą Ducha i ucząc znajdywać szczęście w tem czego mu odjąć już nikt, nigdy nie potrafi“. Pewien jestem, że każdy zdolny odczuć cudne chwile podobne, będzie niezawodnie tego samego zdania! Zaiste! —życie strasznem być nie może—pomimo całej swej nieraz ohydy, dopó i jest na co i można polować. Nieprawdaż, Czytelnicy Najmilsi?

Adam hr. Rzewuski.

[1]) Słynny kuchmistrz francuski.

[2]) Można się wyrobić na kucharza! — lecz trzeba się urodzić dla umiejętnego pieczenia na rożnie.

Z rewolwerem na jaguara.

Już oddawna okoliczni kabokle opowiadali o tygrysie [1]), który porzucił swoje stado dzików i grasował w pobliżu ludzi, pożerając cielęta, źrebaki i świnie. Był to podobno wielki potwór, któremu żaden człowiek nie mógł dać rady, gdyż umiał on, według opowiadań, przemieniać się w rozmaite inne stworzenia, a podobno nawet, jak szeptano sobie na ucho, przybierał czasem postać ludzką. Wprawdzie łatwo było go wtedy poznać, gdyż już zdaleka zalatywał siarką i jeszcze innym smrodem, który starzy ludzie znali dobrze, jednak była to czarodziejska zdolność dająca mu wielką nad dwunogim wrogiem przewagę.

Doszło wreszcie do tego, że kabokle [2]) bali się wychodzić ze swoich rańsz [3]) w obawie, że natkną się na to straszliwe zwierzę mające tyle przeróżnych sposobów na omamienie człowieka. Siedzieli przeto w domu wymykając się tylko chyłkiem na zebrania, na których radzono nad sposobem pozbycia się niemiłego sąsiada.

Radzono, według leśnego obyczaju, długo i przewlekle, stawiano mnóstwo projektów, lecz w rezultacie zgodzili się wszyscy na jedno —.jaguara trzeba zabić.

Ale jak?

W tem właśnie leżała cała trudność.

Mieszkańcom puszcz wprawdzie nie brakuje odwagi ani determinacji, ale co innego iść na najgorsze, śmiertelne nawet zawody z człowiekiem, a co innego mieć do czynienia ze zwierzem, który goniony sam goni, z prześladowanego zmienia się w prześladowcę, lub też przybiera na się inną zgoła, a przez myśliwców zupełnie nieoczekiwaną postać. Nic przeto dziwnego, że odważni kabokle nie śpieszyli się zbytnio z rozpoczęciem polowania, łudząc się, że może Panu Tych Stron [1]) sprzykrzy się pobyt w ich okolicach i wyniesie się gdzieś dalej, czem oczywiście uwolniłby ich od obowiązku za-

[1]) Mieszkańcy lasów w Brazylji nazywają jaguara — tygrysem (tigre).

[2]) Caboklo — mieszkaniec puszcz.

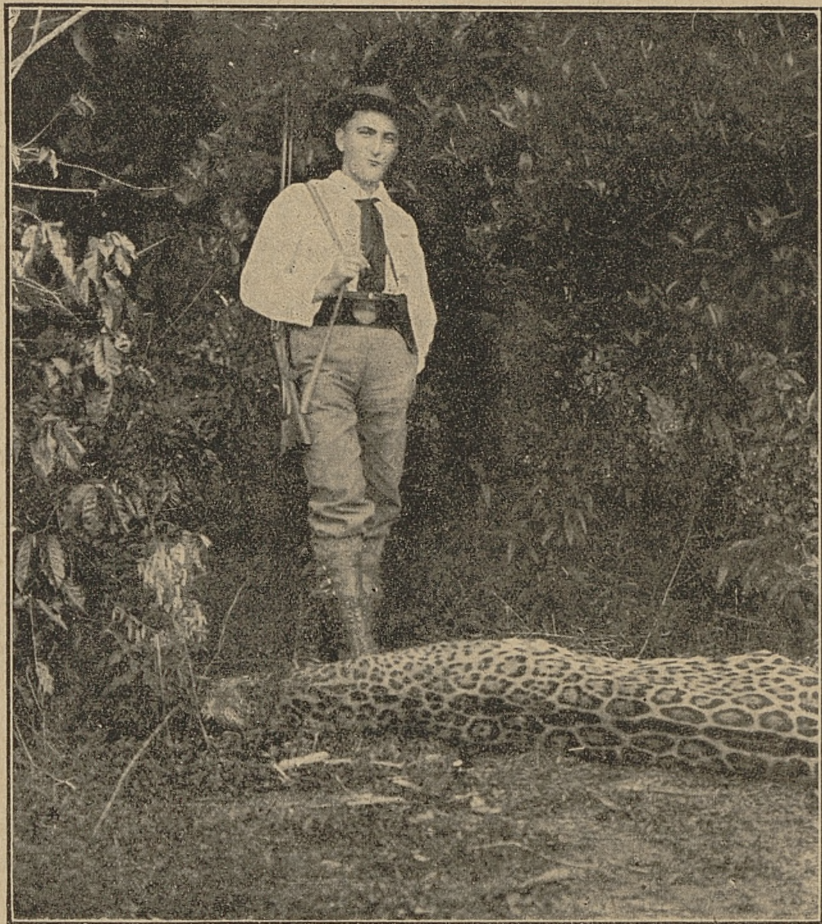
[3]) Rancho — chata leśna.

[1]) Tak Indjanie niekiedy nazywają jaguara.

bicia go. Chętnie nawet darowaliby mu wszystkie szkody i psoty, jakie dotychczas uczynił.

Dnie jednak i tygodnie mijały, świnie, źrebaki i cielaki znikały i znikały, a jaguar ani myślał wynieść się choćby o kilometr dalej. Niewyczerpana cierpliwość ludzi leśnych wyczerpać się jednak kiedyś musiała, w tym wypadku skończyła się wtedy, gdy potwór pożarł kilkoletnie dziecko starego mulata Raymunda. Tego było dość nawet ludziom, dla których narodowem przysłowiem jest słowo „paciencia".

zylji znajduje się nieprzeliczone mnóstwo. Zabezpiecza sobie „dobry byt" przez stałe włóczenie się za świniami i przez wybieranie ze stada tylu sztuk dziennie, ile apetyt pozwoli mu zeżreć. Tylko czasem niektóre stare samce, z niewiadomej mi przyczyny, opuszczają stada i udają się w pobliże osad ludzkich,, gdzie napadają na bydło, konie oraz swojską nierogaciznę, strasząc ludzi i narażając ich na straty. Oczywiście, na każdej takiej wyprawie samotniki nie ryzykują więcej, jak własną skórę, jednak jest to cena dość wysoka nawet dla Krezusa.



Nad zabitym jaguarem.

W czasie, gdy tygrys grasował bezkarnie w pobliżu osiedli ludzkich nad Rio Veado, znajdowałem się od tamtych miejsc w odległości nie większej jak jakieś dziesięć kilometrów. W pobliże mego namiotu, ustawionego w lesie, potwór jakoś nie zapuszczał się, raz tylko czy dwa słyszałem ryk jaguara, jednak wydawany zapewne nie przez starego samotnego włóczęgę prześladującego ludzi i ich chudobę, lecz przez któregoś z innych, rozważniejszych jego krewniaków, zamieszkujących gęsto te zapadłe, nawet jak na Brazylję, strony.

Jaguar lubi przebywać w pobliżu wielkich stad dzików, których w dziewiczych borach Bra-

Przemyślni kabokle rozmyślający nad zabiciem szkodnika, przypomnieli sobie mnie, dobrze uzbrojonego europejczyka, który napewno będzie chciał z nimi zapolować.

Pewnego dnia, siedząc przed namiotem, z cierpliwością iście beznadziejną, starałem się obedrzeć ze skóry pięknego grubodziobego tukana w ten sposób, aby nie powalać krwią pięknych, barwnych piórek. Nagle usłyszałem daleki tętent kopyt końskich, czy też mulich. W dziewiczych lasach przezorność nigdy nie zawadzi, więc też dla wszelkiej pewności rewolwer wziąłem z namiotu i przypiąłem do pasa.

Za chwilę mała polanka, na której stał mój namiot, zaroiła się od jeźdźców, nie zdradzających jednak żadnych wrogich zamiarów.

Całe towarzystwo, z którego najporządniejszy osobnik miał minę taką, że nasz policjant mimowoli schwyciłby go, bez najmniejszego powodu, za kark i odprowadził do komisarjatu, pozsiadało z siodeł, pozostawiło na boku nieuwiązane konie i hurmem ruszyło do mego namiotu.

— Bom dia senhor — przywitali mnie gremjalnie.

— Bom dia para senhores — odpowiedziałem grzecznie i zacząłem podawać kolejno wszystkim rękę.

Kabokle wyszturchali z pośród siebie jakiegoś już z góry, widocznie, wyznaczonego do przemowy towarzysza.

Zaczęło się zwykłe wypytywanie nieodłączne w lesie od każdej rozmowy.

— Como vai senhor — jak się panu powodzi? — zapytał kaboklo.

— Muito bem, bardzo dobrze, a panu jak? — odpowiedziałem w myśl leśnej etykiety, równie srogiej i nieubłaganej, jak w Paryżu, czy też Warszawie.

— A jak się miewają pańscy krewni? — pytał dalej niestrudzenie mieszkaniec lasu.

— Moito bem, a jak się miewają pańscy?

Po takim zagajeniu, kaboklo zaczął mi obrazowo przedstawiać nieszczęścia jakich są ofiarami z powodu podłego jaguara.

— Bydło i świnie nam, podlec, zabija, dziecko Raymundowi zeżarł—unosił się kaboklo—mało mu leśnego „robactwa“,[1]) jeszcze do naszego się dobiera i ludzkiej krwi kosztuje, desgrasado.

Inni kabokle nic wprawdzie nie mówili, lecz przytakiwali skwapliwie dając do zrozumienia, że w zupełności potwierdzają to, co wykładał delegat.

Po dość długim kołowaniu wyjaśnili mi, że ponieważ mam dobrą broń i jako estranżeiro (cudzoziemiec) nie boję się jaguarów już choćby dlatego, że jaguar wogóle na cudzoziemców napada niechętnie, prosili mnie o wzięcie udziału w polowaniu.

Prosta rzecz, że na taką wyprawę nie potrzebowali mnie zbyt długo namawiać: zgodziłem się chętnie.

Postanowiliśmy nie zwlekać, a zaraz nazajutrz udać się w okolice, gdzie krążył postrach wszystkich swojskich świń, bydła rogatego, a także i ludzi leśnych z nad Rio Veado.

Jaguar-samotnik miał zwyczaj, tak zresztą jak i inne z jego rodziny, polować nad samym ranem, postanowiliśmy przeto udać się do lasu już zaraz po północy.

Tego dnia, oczywiście, nikt nie spał.

Zagospodarowałem się wraz z kaboklami przy jednej z chat, w pobliżu której kręcił się złowrogi zwierz. Kabokle przez cały wieczór oglądali swoje długie dwururne pistolety, z których wiele było kapiszonówek, a żadnego bębenkowego lub magazynowego. Naturalnie, przy takich gratach mój sześciostrzałowy rewolwer systemu Smita, niezwykle precyzyjny, absolutnie pewny, nigdy nie zacinający się—był przedmiotem ogólnego podziwu i zachwytu.

W lasach brazylijskieh prawie nigdy nie chodzi się na polowanie z bronią długą, ponieważ w splątanej gęstwinie, gdzie na dwa lub najwyżej kilka kroków nic nie widać, niema z karabinka czy dubeltówki żadnej korzyści. Do zwierzyny strzela się, albo z odległości tych kilku kroków, z której coś niecoś widać, albo też nie strzela się wcale. Dlatego to kaboklo na polowanie udaje się tylko z pistoletem, a o ile ma rewolwer — to z rewolwerem. Z broni długiej można polować tylko na stepach, lub też w lesie na zwierzynę małą, kryjącą się na drzewa, jak naprzykład na quati (szop pracz), małpy, oceloty, lub też leśne koty (gato do matto), a także na dzikie indyki i rodzaj dzikich perliczek zwanych tam makuku. Polowanie jednak na dziki, których w lasach południowej Brazylji znajduje się bardzo dużo, na tatety, paki (caelonus paca), mrówkojady, pumy, graszainy i wiele innych, odbywa się najczęściej tylko z bronią krótką. Stosując się do słusznego zwyczaju, na polowanie na jaguara wybrałem się, tak jak i Brazyljanie, tylko z rewolwerem.

Noc była ciemna, tak ciemna, jak tylko podzwrotnikowe noce bywają. Zdawało mi się, że jakaś czarna zasłona rzucona przez złośliwego indyjskiego boga Tupana, zasłoniła cały świat. W tej doskonałej czerni, jak oczy duchów, błyszczały niezliczone ogniki świetlików. Tysiączne tajemnicze szmery i głosy puszczy wzbudzały jakąś dziwną, niczem nieusprawiedliwioną trwogę. Zewsząd dochodziły nas krótkie naszczekiwania graszainów, ciche piski pumy, lub też przecinały powietrze ostre, przeraźliwe krzyki jakiegoś mordowanego stworzenia. Podczas nocy w puszczy trwa sroga i nieubłagana walka o byt.

Zbici w gromadkę, ja i dziesięciu kabokli, siedzieliśmy pod wielkim anżykiem i czekaliśmy, aż powstający dzień rozproszy nieco mroki.

Była może godzina trzecia nad ranem, gdy dobiegło nas z niewielkiej odległości najpierw głuche przerażone chrząknięcie, potem przeraźliwy

[6]) Robactwem nazywają brazyljanie zwierzynę.

kwik, jaki potrafi wydać tylko zabijana świnia, a za chwilę ponury, groźny ryk jaguara.

Ryk ten wzbudził w moich towarzyszach paniczny lęk. W bladym świetle powstającego dnia widziałem dokładnie, jak kabokle żegnali się zabobonnie i szeptali niezawodne zaklęcia na wszelkie jaguarowe zakusy.

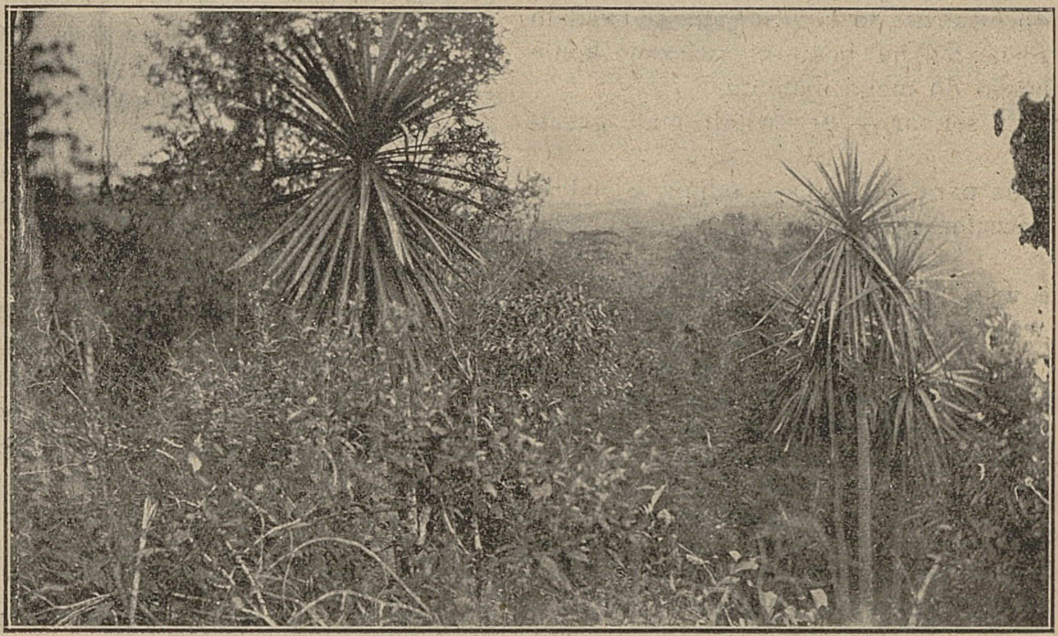
Ruszyliśmy wreszcie w kierunku, skąd doszedł nas ryk samotnika.

Chociaż usiłowaliśmy posuwać się możliwie najciszej, to jednak nie można było uniknąć hałasu jaki powstawał przez deptanie suchych gałązek i liści. Po przejściu może jakich stu metrów, dosłyszałem najwyraźniej, tuż za zieloną ścianą tukuary, coś, co wydało mi się ciągnięciem po leśnym podszyciu wielkiego ciężaru.

Teraz nadeszła chwila działania. Kabokle rozsypali się w długą linję i ruszyli w kierunku miejsca, gdzie przypuszczalnie jaguar oddawał się konsumowaniu zdobytego świniaka.

Tymczasem dzień zamienił dotychczasowy świt i pierwsze promienie wschodzącego słońca nieśmiało oświetliły sąsiednie wierzchołki wzgórz.

Za chwilę doszedłem do miejsca, gdzie jaguar



Łuszcza parańska.



Kpt. Fularski z trofeami.

pochwycił nieszczęśliwego dzika. Widocznie odgłosy idących ludzi i ich zapach, spłoszył rabusia, gdyż pozostawił część zdobyczy i usunął się gdzieś dalej. Wiedzieliśmy z doświadczenia, że jaguar nie należy do zwierzyny tchórzliwej, która poczuwszy swego dwunożnego wroga, ucieka bez zastanowienia, gdzie ją oczy poniosą. Jaguar postępuje zupełnie inaczej. Wprawdzie człowiekowi ustępuje i rzadko napada pierwszy, lecz tropiony nie ucieka, ale okrąża myśliwców i sam postępuje za nimi, niejednokrotnie napadając z tyłu. O tych jego podstępach wiedziałem dobrze, dlatego też, od czasu do czasu, nie omieszkałem spoglądać za siebie i nadstawiać ucha, czy czasem ze zgoła przeciwnej strony, aniżeli się spodziewamy, nie wyskoczy nagle samotnik-włóczęga i nie zatopi potężnych kłów w gardle swych śmiertelnych wrogów.

W pewnym momencie dostrzegłem jak coś mignęło między zaroślami i znikło. Za chwilę znowu coś mignęło i tym razem dostrzegłem, że to coś, przyczaiło się za wielkim i grubym pniem kaneli.

Było to moje pierwsze polowanie na jaguara, nic przeto dziwnego, że bez żadnego zastanowienia ruszyłem wprost na czającego się za drzewem zwierza. Byłbym napewno przypłacił ten nierozsądek życiem, gdyby nie idący opodal mnie kaboklo, który w ostatnim prawie momencie wrzasnął przeraźliwie i zaczął wskazywać w górę na pień wspaniałej kaneli. Gdybym posunął się jeszcze parę kroków, w przekonaniu, że jaguar czai się za drzewem, ze zwróconą uwagą na ziemię, gryzłbym ją dzisiaj bez wszelkiej wątpliwości. Bo oto mądry jaguar wdrapał się przeciwną stroną, dość pochyłego drzewa, na jeden z jego licznych, długich konarów i skoczyłby wprost na moją głowę.

W chwili, gdy spostrzegłem tuż niedaleko nad sobą potężne zwierzę, gdy ruchem kota darło pazurami korę gałęzi, uczułem obfity pot występujący mi na czoło. Gdyby nie krzyk kabokla, już za małą chwilkę przeniósłbym się na czcigodne łono Abrahama.

Tymczasem kaboklo z odległości kilkunastu kroków strzelił ze swego starożytnego pistoletu, oczywiście chybiając. Strzał oprzytomnił mnie zupełnie. Oparłem o pień jakiegoś drzewa rewolwer i palnąłem prosto w jaguara, który runął, czy też skoczył na ziemię i wbrew opinji niezwykle walecznego, uskoczył w las. Jeszcze nie znikł zupełnie w gąszczu, jeszcze migało od czasu do czasu jego piękne, centkowane futro, gdy z pół tuzina kabokli, nadbiegłych na odgłos strzałów, rozpoczęło za nim równie bezładną jak i bezskuteczną strzelaninę.

Niestety, tyle już tylko widzieliśmy tego pogromcę okolicznych świń, bydła i innego pomniejszego stworzenia.

W lasach nad Rio Veado przebywałem jeszcze pewien czas, lecz o jaguarze-samotniku przestały



Dziewiczy las brazylijski.

już mnie dochodzić wieści, dopiero pod koniec pobytu w puszczy, odwiedził mnie jeden z kabokli i opowiedział, że „tigre" przeniósł się gdzieś dalej, albo nawet zgoła powrócił do swego leśnego obyczaju chodzenia za stadami leśnych świń i karmienia się niemi. W każdym razie, widocznie wystraszony porządnie strzałami, albo wyniósł się gdzieś daleko, albo też zdechł w głębi puszczy z ran, jakie w potyczce z ludźmi odniósł.

M. B. Lepecki.

PAROSTKI KOZŁA I ICH ZNACZENIE DLA ŁOWIECTWA.

Podana przez nas w zeszłym numerze podobizna przedstawia parostki sformowane skutkiem uszkodzenia i jednoczesnej infekcji. Drugi czynnik, który wpłynął na nienormalne ich wykształcenie, było to rozłupanie lewej gałęzi w stanie ich pierwotnego rozwoju.

Dziwnym zbiegiem okoliczności, jakby dla wykazania nam tych transformacyj, obydwa te odmienne czynniki zjednoczyły się na jednych parostkach.

Niezwykły okaz gigantyzmu czyli hyportofji znajduje się i w moich zbiorach. Fig. 1. Kozła tego zabiłem w Zakrzewie 21 października 1908 r. a więc w czasie gdy inne kozły u nas pozbywają się swych ozdób; a jednak niema tu najmniejszej oznaki, by to miało w krótkości nastąpić. Jedna tyka przedstawia jednorocznego spiczaka, druga zaś zupełnie wykształconego szóstaka. Formacja taka na pierwszy rzut oka zdaje się niewyjaśnioną i dopiero po bliższem i ścisłem zbadaniu odkrywa się zagadkę w nadpęknięciu łodygi u małej tyki, które spowodowało jej obumarcie w czasie, gdy parostki znajdowały się dopiero w stanie formacji i powstrzymanie jej dalszego wzrostu. W ten sposób powstrzymany dopływ soków żywotnych skupił się w drugiej tyce, która przypuszalnie nie byłaby się tak nigdy rozwinęła i stała tak silną, gdyby nie to skoncentrowane zasilenie.



W każdym razie są to formacje nienaturalne i chorobliwe, a zdarzają się, sądzę, u kozła tak często, a u jelenia w rzadkich wypadkach, z następujących powodów: ten ostatni w czasie omszenia wieńcy, czuły na swój niepoczesny wygląd przebywa ukryty w gąszczach i wieńce z nadzwyczajną nosi ostrożnością, położywszy je prawie na grzbiecie. Kozieł tymczasem nie tyle dbały o swą toaletę, z omszonymi tykami uwija się wszędzie i naraża je często na okaleczenie.

Jak widzimy dość szczegółowo byłby naukowo zbadany powód i przebieg tworzących się niezwykłych odmian i monstrualnych okazów. Nie jasny jest dotąd i nie zupełnie wyjaśniony czas zrzucenia rogów u cerwidów. Z reguły następuje to wprawdzie raz do roku, ale liczne przykłady dowodzą, że zdarzyć się to może i w odmiennym od normalnego czasie, lub też i więcej razy do roku. A. Rössing przytacza, iż u hr. Bernsdorfa w Mirowie zdarzył się kapitalny jeleń, który już w połowie października wieńce zrzucał, gdy w zwykłych razach następuje to dopiero w pięciu miesiącach po rykowisku. W jednym roku tegoż jelenia świeże zrzutki, które dziesięć kończyn wykazywały, znaleziono w początku listopada. Hr. Bernsdorf twierdzi, iż w wypadku tym, jeleń urodził się z matki, która poza czasem zwykłego rykowiska zapłodnioną została.

Inne zdarzenie komunikuje p. von Wrochem w Neu-Ottitz pod Raciborzem. Tam zabity został 5 września silny kozioł, który już 5 września prawą tykę zrzucił, w sposób zupełnie regularny.

Mimo powagi jaką Rössing w ornitologji posiada powtarzam dwa powyższe przykłady z pewnym zastrzeżeniem. Doniesienia i obserwacje okolicznościowe, jako i twierdzenia osób niekompetentnych i niefachowych przyjmować trzeba do wiadomości z należytą ostrożnością. Naprzykład: jakby forstmeister Rössing wytłumaczył lub wywnioskował wpływy dziedziczne zrzucenia jednej tyki u kozła, którego zabiłem w Zakrzewie w Pałukach 23 czerwca 1907 r.? Trofea te znajdują się w moich zbiorach, a zrzut nastąpił, jak to z czaszki przekonać się można, nie przez gwałtowne złamanie, lecz zupełnie prawidłowo. Zrzut więc nastąpił tutaj już w tym czasie, kiedy u innych kozłów tworzenie się parostków zaledwie się skończyło. Zrzucenie w dwóch wyżej wymienionych wypadkach wydarzyć się mogło z powodów, leżących w samym organizmie cerwidów, ich nadzwyczajnej sile, mogło też nastąpić, co się zdarza, iż osobniki skutkiem choroby lub postrzału w tym roku wogóle rogów nie zrzuciły i dlatego nastąpiło to w tak niewłaściwym czasie. Pozostała tyka na czaszce u moich parostków okazuje bez najmniejszej wątpliwości, iż nie jest świeżo odrosła, lecz że ją kozioł przez rok co najmniej nosił na głowie.

Pisząc o parostkach niemożliwem jest pomi-

nąć i przeznaczenia, dla którego natura tego małego rycerza w ozdobę taką uposażyła. Parostki nietylko są jego ozdobą, ale służą mu jako broń zaczepna i odporna jednocześnie.

Walki współzawodników nie zdarzają się wprawdzie tak często pomiędzy kozłami, jak między jeleniami już z tego względu, iż kozioł nie zna rykowiska — a więc właściwego wyzwania rywala do walki. Pojedynki te odbywają się mniej rozgłośnie, lecz z niemniejszą zaciętością, a broń i sposób walki może są jeszcze groźniejszemi w walce jeleni. Myślę, że nie odbiegnę od przedmiotu jeżeli poruszę na tem miejscu sposoby walki dwóch naszych najszlachetniejszych zwierząt łowczych „o żołd słodkiej miłości“ t. j. kozła i jelenia. Otóż jelenie walczą mniej więcej w ten sam sposób jak nasze stadniki,—z tą tylko różnicą, iż rogi ich są jakby do walki tej umyślnie skonstruowane.

Korona służy do odparcia uderzenia, zaś trzy przednie odnogi są właściwymi środkami zaczepki, któremi jeleń stara się przeciwnika ugodzić.

Pan K. Brandt tak opisuje walkę dwóch jeleni:

„Obcy jeleń ryczy i postępuje ku miejscowemu, który również nie szczędzi groźnej odpowiedzi zbliżającej się coraz bardziej i bardziej. W końcu zbliżenie następuje za pomocą zupełnie wolnego tempa przy ciągłym ryku z jednej i drugiej strony. Postępują one tu podobnie, jak bohaterowie starożytnej Troi, którzy przed rozpoczęciem walki oko w oko, na dwa zapędy od siebie oddalone jeden szyję wykręcił na prawo, drugi na lewo,— ale tylko na kilka sekund. Nagle jakby na komendę spuszczają nozdrza ku piersiom, korony rogów nachylają kończynami swojemi prawie do ziemi i w gwałtownym zapędzie uderzają przeciwnicy na siebie, aż rogi trzeszczą, jakby miały iść w kawały. Ale jelenie są znakomitemi fechtmistrzami. Surowa, samorodna siła, która ostatecznie zwycięstwo odnosi, początkowo niema znaczenia. Każdy z nich stara się uderzenie przeciwnika odeprzeć, a potrafi czynić to w sposób podziwienia godny, gdyż każda korona chwyta ze zręcznością koronę nieprzyjaciela, a kończyny rogów splatają się jakoby palce dwóch rąk ze sobą połączonych. Odnogi przytem są zawsze jeszcze na dół skierowane, ale silnie przeciwko sobie napierający kombatanci starają się koronę przeciwnika na bok lub do góry odsunąć, aby go przebić przedniemi kończynami. Skoro przeciwnicy są równej siły, to zdarza się też, iż po krótszej lub dłuższej walce odrywają się, aby na nowo uderzyć. Skoro wszakże jeden z nich czuje, że go siły opuszczają, usiłuje się oderwać i zręcznym skokiem w bok uniknąć uderzenia przeciwnika. Uchodzi wówczas z placu walki ścigany już tylko lżącym rykiem zwycięskiego rywala“.

Powyższy opis, niestety, powtórzyć tylko mogłem za innym autorem, nie danem było mi przypatrzyć się podobnym zapasom.

Natomiast dwukrotnie byłem już świadkiem pojedynku kozłów, ostatni raz w maju 1906 r. w okolicznościach, które mi na długo pozostaną w pamięci.

Trzeba wiedzieć przedewszystkiem, że kozioł walczy zupełnie inaczej od jelenia. Jeżeli mamy zrobić porównanie ze sposobem walki zwierząt domowych, to podczas gdy jeleń bodzie jako stadnik,—kozieł uderza jak nasz tryk swojski, skutkiem czego i róg musi być inaczej skonstruowany. Środkiem walki kozła są kończyny, któremi przy uderzeniu usiłuje przebić przeciwnika. Ażeby wszakże głowa miała możliwą obronę, ma on róże tak silnie rozwinięte, aby jako tarcza służyły. Podobnie rozwiniętych róż nie ma żadne stworzenie, i to bez kwestji z tego względu, że róże u wszystkich innych cerwidów w czasie walki podrzędną tylko odgrywają rolę lub są zupełnie zbyteczne. Także przednia i tylna kończyna służy do odparcia pchnięcia przeciwnika. Zrozumieć można to wszystko najlepiej (tak jak i ja to zrozumiałem) widząc użycie broni tej w walce.

Było to, jak już rzekłem, w końcu maja. Siedziałem ukryty w budce, którą kazałem ustawić na znanym mi przesmyku silnego kozła. Położenie było jakby do celu tego wybrane, mała łączka położona wśród lasu. Żaden superarbiter lepszegoby miejsca do pojedynku nie wybrał. Siedziałem dłuższą chwilę, słońce schyliło się już dawno za drzewa, gdy z prawego boku zajaśniało pomiędzy zielenią gąszczu olszowego coś białego, jakby chusteczka — jednocześnie wszakże dał się słyszeć tentent i z gąszczu na arenę walki—na łąkę—zdaje się, jakoby szukając odpowiedniego miejsca do zapasów, wpadło dwóch przeciwników. Mój (znany mi oddawna) miejscowy kozieł i drugi obcy—zdaje się z innego rewiru świeżo przybyły. W wielkości korpusu i sile parostków byli sobie zapaśnicy prawie równi.

Obydwaj stanęli na środku łąki na kilka skoków oddaleni od siebie, pochylili głowy i jak na komendę uderzyli jednocześnie. Następnie cofnęli się kilka kroków poczem znowu nastąpiło silne zderzenie. Na krótką chwilę pcha jeden drugiego, słychać stękanie — świst wydobywającego się z nozdrzy tchu, zgrzyt trących się pereł...

(Dok. nast.).

Wł. Janta Połczyński.

FATALNE TOKI.

(*Ze wspomnień przedwojennych*).

Igor Arkadjewicz Iżorin, nadleśny jednego z najbardziej oddalonych od wszelkich ośrodków cywilizacji rządowych rewirów, położonego w zapadłym zakątku Mozyrskiego powiatu, przeżywał w cudny dzień wiosenny, jeden z okresów swej typowej „chandry" — melancholji iście rosyjskiego kalibru!

„Tak dlatego (rozumował nasz Igor, syn Arkadjusza) ukończyłem studja wyższe w Instytucie Leśnym w Petersburgu ze złotym medalem--celująco! — żeby od lat pięciu „marynować" się w podobnym „zachołustju"[1]) jak Burowskie lasy, od których najbliższa stacja kolejowa leży o 80 wiorst! — przy których Mozyrz zda się stołecznem miastem! — a Mińsk?—marzeniem niedościgłem! — prawdziwem niemal Paryżem pełnym pięknych kobiet, wykwintnych restauracyj, teatrów, kin, hoteli!—do którego raz na rok wpadłszy już człowiek szczęśliwym się czuć powinien! A otoczenie?! — Para podwładnych leśniczych o czerwonych nosach, zawodowych pijaków! — Pop batiuszka[2]) Melchisedek w swej zatłuszczonej „rjasie"[3]) z wieczną czkawką--oraz cytatami w staro-słowiańskim narzeczu niezmiennie poczynającemi się z „ono koneczno pryskorbno"[4]), stanowy prystaw[5]) jako karę za szereg łapówek odbywający tu swe wygnanie, kilku strażników „barbosów", pozatem obywatelstwo polskie oczywiście żadnych stosunków z „moskalami" nie utrzymujące oraz kohorty całe kołtuniastych bab i chłopów poleskich — wreszcie z pośród nich rekrutujący się etat podległych gajusów. A owe niewiasty miejscowe, z których względów niestety volens-nolens — od czasu do czasu z konieczności wypada korzystać! br! — aż straszno pomyśleć! Polowania nie cierpię! głupie i bezcelowe zajęcie! — w karty nie gram! — wódki nie piję! — więc choć „łożiś i pomiraj"![6]). A tylu „duraków"[7]) kolegów daleko gorzej odemnie ukończywszy Instytut — patrzaj! dzisiaj przydzieleni już do Ministerstwa, zajmują etatowe świetne posady dające możność uczęszczania do klubów, opery, pieszczą ładne kobiety, robią karjerę jednem słowem! Rok jeden, drugi — i naczelnik departamentu z podobnego „frukta" — gotowy! „W ludzi wyjdiet"[8]) — bałwan podobny! — czort by ich wszystkich pobrał!"

[1]) Odludzie. [2]) Ojciec. [3]) Sutannie. [4]) Oczywiście smutnem jest. [5]) Assesor policyjny, rodzaj komisarza. [6]) Kładź się i umieraj. [7]) Durnie. [8]) Człowiekiem się stanie.

Tu wyobraźnia Igora Arkadjewicza przeniosła się w zamierzchłe czasy lat studenckich Instytutowych w Petersburgu!

Przyszły mu na myśl: udręki ojca skromnego urzędnika XII rangi (koleżskoho registratora) oraz rodziny, nędza ubogiego studenta, dla którego szczyt marzeń: wieczorynki z ostrzyżonemi kursistkami, dyżury nocne na mrozie celem uzyskania biletu na paradyz na występy Sembrich, Boronat lub innego Battistiniego, bale dobroczynne dla uczącej się młodzieży — głupia miłość i wynikły stąd zamiar wyrwania z domu publicznego pierwszej lepszej Maszki i jeszcze głupsze, według obecnych jego poglądów, spory i kłótnie zażarte, do rana trwające wśród obłoków dymu i butelek piwa o „kwestjach przeklętych" — omal o włos nie zakończonych przymusową perygrynacją do kraju Turuchtańskiego!

Przypomniał sobie też dwudziesto kopiejkowe lekcje, na które w wytartem paltociku musiał nieraz całe mile pędzić piechotą, faszerując pseudonauką twarde głowy najróżnorodniejszych kretynów i degeneratów, trujące garkuchnie, tajemnicze wizyty u tajemniczych lekarzy! Wzdrygał się!

Lecz jednocześnie w retrospektywnej mgle lat ubiegłych—nawet i ów ciężki okres pierwszych walk życiowych - nabierał, jak wogóle wszystko co już bez powrotu minęło, dziwnego, upajającego niemal uroku. Wzdrygał się—lecz jednak nie mógł się powstrzymać od wykrzyknika: „A jednak dobre były czasy, pal ich djabli!—eh!—Hryhor! a Hryhor!"

„Czeho, panoczku"?

Typowy poleski gajus z zielono otokową furażerką i miedzianą blachą „leśny strażnik rządowy" — służbowo starał się wyprężyć swą postać podobną do pniaka olchowego—we drzwiach stojąc „na baczność" — przed „naczalstwem".

„Samowar skorej" (prędzej).

„Uoże nieosu, panoczek, zaraz gotow budie— a tuteczka jeszcze „kaziennyj pakiet"[1]) z „wołosti"[2]) — dyżurny leśnik pryunios — „howorył"[3]) „wielmi" (bardzo) ważnyj i sekretnyj".

Dawaj! Rozerwawszy kopertę nadleśny odczytał: „Uprzedzam Pana, że Jego Ekscelencja Dyrektor Departamentu Leśnego baron Zygfryd Wolframowicz Westen-Sünden — 15-go b. kwietnia ma

[1]) Rządowe pismo. [2]) Gminy. [3]) Mówił.

zamiar przybyć ekstra służbowym pociągiem o godz. 3 m. 15 popołudniu na stację Kopcewicze, celem zlustrowania powierzonego panu Borowskiego nadleśnictwa. Posiadając podanie pana o przydział do Ministerstwa — na które to ma pan wszelkie wymagane ku temu kwalifikacje, po koleżeńsku zawiadamiam pana, że baron w wolnych od zajęć służbowych chwilach ma zamiar polować na tokach głuszcowych, na których (podkreślam) nigdy w życiu nie był. Konfidencjonalnie też komunikuję, że z rozmaitych powodów zależy Ekscelencji niezmiernie na pomyślnym wyniku tych łowów. Bez trofeum w postaci głuszca baron wrócić nie powinien! Rozumie pan?!

Niejednokrotnie wyrażał się, że jeśli się uda— to w przyszłym sezonie przyjadą razem z panem ministrem i że wogóle, kto mu podobne polowanie ułatwi, ten pewien być może niezmiernej łaski Jego. Jasna sprawa, nieprawdaż? Przychylna decyzja w sprawie podania pańskiego, a padły z ręki dyrektora głuszec — to synonimy"!

„A żeby was cholera"!—dziś już mamy 12-go kwietnia! — nigdy w życiu nie był na tokach? — jak ja mu to urządzę. — A nie! — pisz na Berdyczów! — przepadła karjera! — zgnije tu! — żywcem wjuny i żaby poleskie zajedzą! Hryhor! Hryhor!"

„Szo prykażyte, panoczek"?

Siodłaj konia i jedź na złamanie karku! — walaj! „napramiki"—przez korytyckie błota! groblą „krąglakami" do „objazdowego" Ustyma. Natychmiast ma się stawić osobiście u mnie. Też obu leśniczych. A tymczasem dziś jeszcze gajowi z Miedwieżoho Uhla, z Pohibelki, z Zakarawania, z Kriwoj Porośli, z Tarzanowa — niech „duchem" lecą na „podsłuchy" (zapady). — Sam minister do nas przyjeżdża! — rozumiesz!

„A koli panoczek, koniom „ciaper" [1]) „nakatnikom" [2]) — nie przejedziesz, wielmi woda po „dożdiach" welika stała na bołocie!"

„Pieszki [3]) kataj! — i to w raz! dwa!"

„Łapci [4]) nowe uodienu i czuj duch panoczek! nad ranem jutro z „objeżdczykami" Soroką i Sytnicą „predstawliasia" [5]) — a na „podsłuchy" — to najlepszych leśników „komenderuję" — z rozkazu panoczka! „Szutka skazat"! [6]) — sam minister! A czy on uoże „wiedaje głuszców"!? — polował już?

„Ale gdzieżtam! — pojęcia nie ma! — pierwszy raz w życiu! A nie zabije — was wszystkich na cztery wiatry porozpędza!"

„Niczeho! panoczku na „chytrość jest mudrość" — głuszec bude! i generał sam zabije! treba żeby zabił!"

[1]) Teraz. [2]) Grobla z krąglakami. [3]) Piechotą wal [4]) Chodaki. [5]) Zamelduję się. [6]) Łatwo powiedzieć.

„Jakim sposobem? Dam ci sto rubli nagrody!— ratuj hołubczyku!" [1])

„Słuchajte panoczek! — mam w komorze głuszca — co to pan naczelnik dla sprawnika [2]) nakazywali „spuścić" — zabiorę w worek, zaniosę z wieczora i z nim razem wlezę na „krywuju sosnu" w 132 kwartale — co to „stupaków" [3]) dwieście od Łysoho Brodu bude, wprawo od „suchoj berezy"!— panoczek wiedaje! — to zowsim nie daleko od „chaty" [4]) — wiorsty nie bude — miejsce „suchoputnoje" — suche! — sławne! generał się nie zmęczy!

Cały wieczór panoczek będzie generała musztrował — jak skakać do głuszca. Ja też dniem zabiegnę pokazać jak on kłapie i pieje — pieśni powiem, że bardzo trudno usłyszeć! Przedtem jeszcze jak „strona [5]) bieleć pocznie" i „trubacze [6]) hołos podadut" — panoczek z generałem będą już podskakiwać. Ja na drzewie w „gnieździe z chwojniaku siedząc" — klapać i śpiewać pieśni głuszca zacznę! — z boku urządzę z „helja" [7]) — czarną kupę — to niby panoczek ukaże generałowi że to „on" — sam „spiwak" bude! Niechaj strelaje! Zaraz ja z dymem głuszca zrucę na ziemię! po strzale! Strzelbę tylko panoczek sam „patronami" z samym tylko prochem i cukrem nabije! Generał „zwiestnoje [8]) dzieło" durnyj! — nic nie rozpatrzy się! „nie prymietit" [9]) — i że głuszec — dwa dni już jak zabity i że nie z tego miejsca gdzie strzelał spadnie! — bo wielmi rad będzie! Tylko prędzej po strzale do domu generała! — żeby nie rozwidniało! boroni Boże! [10]). I nam wszystkim i panoczku — „nahrada" welika bude! — Acz, stary Hryhor dobrze prydumał. — na chytrość jest mudrość, panoczek!"

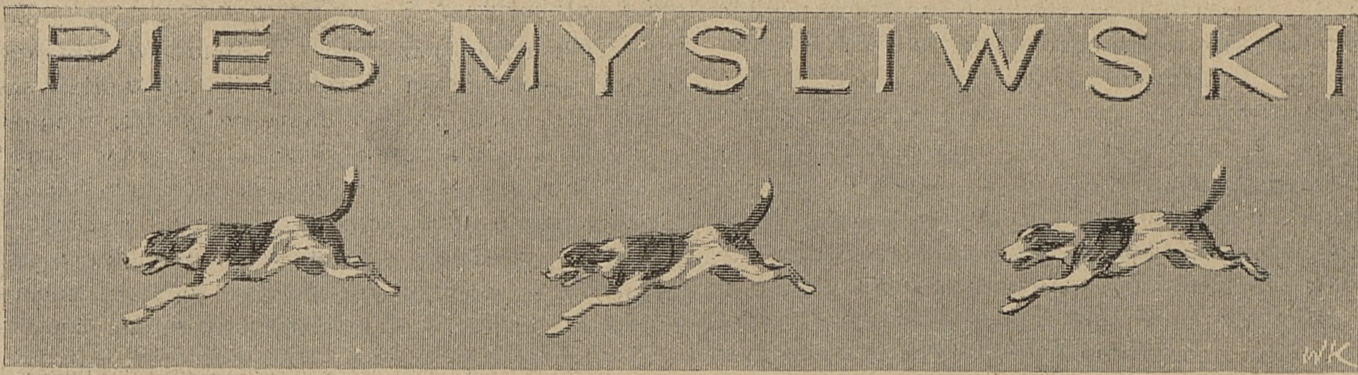
„Nu i szelma z ciebie! — nie darmo Poleszuk! Jak dobrze się uda nie sto a całych dwieście rubli dostaniesz! a nikomu ani słowa o tem, „mołczok". — Leśnicy niech idą na zapady. — Ty i ja nikt więcej nic wiedzieć nie „dołżon" [11]). Nu a teraz— dobrze, stupaj! — leti!"

W różowych słodkich marzeniach o przyszłych delicjach, związanych z przyszłym dygnitarstwem już prawie niezawodnym w dalekim Petersburgu, zasnął tego wieczoru twardym snem nasz Igor Arkadjewicz.

Adam hr. Rzewuski.

(d. c. n.)

[1]) Gołąbku. [2]) Naczelnik powiatu. [3]) Kroków. [4]) Kroków. [5]) Dzień pocznie świtać. [6]) Żórawie się odezwą. [7]) Gałęzi [8]) Znana rzecz. [9]) Nie zauważy. [10]) Nie daj Boże! [11]) Nie powinien.



I-a Wszechpolska Wystawa Psów Rasowych w Warszawie.

mająca odbyć się 31/V—2/VI 1925 r.

Związek Hodowców Psów Rasowych, urządza w Warszawie w dn. od 31 maja do 2 czerwca r. b. I-szą Wszechpolską Wystawę Psów Rasowych, również z działami kotów i dzikich zwierzątek futerkowych i kóz—i prosi PP. Hodowców o wzięcie w niej udziału.

O objęcie protektoratu zwrócono się do pana Ministra Rolnictwa i Dóbr Państwowych. Do Komitetu Wystawy wchodzą: Zarząd Zw. Hod. Psów Rasowych oraz wybitni hodowcy z Organizacji Myśliwskich.

Do Komisji Sędziowskiej zaproszono najwybitniejszych znawców psów rasowych. Komitet rozporządza nagrodami w postaci wielkich i małych medali złotych, srebrnych i bronzowych, — wysokiemi nagrodami honorowemi i pamiątkowemi, przyznanemi przez różne instytucje i osoby prywatne, popierające rozwój hodowli psów.

Nie wątpimy, że pierwsza ta wystawa, zakrojona na szerszą skalę, będzie wielkim i wspaniałym przeglądem naszego rodzimego dorobku w dziedzinie psiarstwa i pozwoli na wyprowadzenie wniosków zmierzającym do podniesienie hodowli. Okazy zakwalifikowane do pierwszych nagród będą miały prawo do wpisu w księgi rodowe psów.

Deklaracje wypełnione należy nadsyłać jaknajwcześniej pod adresem Związku Hodowców Psów Rasowych, Warszawa, Kopernika 30, a to w celu zarezerwowania miejsca i zamieszczenia eksponatu w katalogu Wystawy.

Komitet Wystawy.

Program wystawy.

1. Psy myśliwskie: a) Wyżły angielskie i niemleckie, b) Ogary, c) Charty, d) Jamniki, e) Spaniele, f) Foksterjery i inne.

II. Psy policyjne i ratunkowe: a) Airedaile Terjery, b) Owczarki Alzackie, c) Doberman Pinczery, d) Bernardy, e) Wodołazy, f) Dogi, g) Owczarki Polskie i inne.

III. Psy pokojowe: a) Pudle, b) Ratlery, c) Szpice, d) Chin-Chin, e) Gryfony Brukselskie i inne.

IV. Przybory do hodowli i tresury psów, oraz modele urządzeń psiarni.

V. Pokarm i środki lecznicze.

VI. Literatura. fotografje, tablice etc.

VII. Zwierzątka futerkowe: koty, lisy, tchórze, kuny, bobry, borsuki, nornice, wydry, łasice i inne.

VIII. Przemysł futerkowy.

IX. Oddział kóz.

X. Atrakcje: a) popisy psów policyjnych, b) lot gołębi pocztowych i inne.

Warunki i przepisy dla wystawców.

1) Zgłoszenia na udział w Wystawie należy nadsyłać najpóźniej do 25 maja 1925 r. do Związku Hodowców Psów Rasowych, Warszawa, Kopernika 30. Zgłaszający się winni nadesłać dwa egzemplarze deklaracji, z których jedną zatrzymuje Komitet Wystawy, a drugą wrazie warunkowego przyjęcia zgłoszenia przesyła wystawcy.

2) Jednocześnie z deklaracjami należy przesłać opłatę za miejsce na Wystawie, na rachunek czekowy Centralnego Komitetu Hodowli Drobiu w Polsce (dla Związku Hodowców Psów Rasowych w Warszawie, w Pocztowej Kasie Oszczędności Nr 6,054.

3) Eksponaty zgłoszone i przyjęte warunkowo winny być dostarczone na Wystawie w dn. 30 maja 1924 r. pod adresem wskazanem przez Komitet Wystawy w zawiadomieniu o przyjęciu. Dostarczone eksponaty klasyfikuje Komisja Kwa-

lifikacyjna, po zbadaniu przez lekarza weterynarji. Eksponaty nie zgłoszone do 25 maja 1925 r. mogą być przyjęte w dniu zapisu, jednak bez udziału eksponatu w ekspertyzie; przyczem pobiera się podwójną opłatę.

4) Eksponat winien być zupełnie zdrowy, czysty, wolny od pasożytów, zaopatrzony w obrożę ze sprzączką (zaciągana obroża nie dopuszczalna). Suki grzejące się i widocznie ciężarne, jak również szczenięta bez matek przyjmowane nie będą.

5) Psy powyżej dwunastu miesięcy zapisywane będą do klasy głównej, okazy młodsze od 8-iu do 12-tu miesięcy, zapisywane będą w klasie szczeniąt. Eksponaty z rodowodami Pol. Związku Hodowców Psów Rasowych, lub innego Związku uznanemi przez Zarząd Pol. Zw. Hod. Psów Ras. mają pierwszeństwo przy nagradzaniu, przed okazami zapisanymi w księdze wstępnej, lub kandydatami do zapisu.

6) Psy gryzące muszą mieć kaganiec i własną obsługę. Za ukąszenie odpowiada właściciel eksponatu. Psy złe będą umieszczone za siatką.

7) Karmione i obsługiwane będą eksponaty stosownie do zadeklarowania.

8) Psy tchórzliwe i dzikie winny być jako takie zadeklarowane.

9) Opłaty wynoszą: a) za boks lub miejsce pod niego 5 zł., za karmienie psa, za czas trwania Wystawy 5 zł., za wynajem łańcucha i znaki i za zabieranie psów do domu na noc wystawca składa kaucję w biurze Wystawy 15 zł.

Odprowadzanie psów na Wystawę musi być punktualne, t. j. o g. 9½ rano, pod groźbą utraty kaucji.

10) Miejsce i godziny spaceru i wyprożniania się psów muszą być przestrzegane. W razie zanieczyszczenia terenu Wystawy w obręcie ruchu publiczności, płaci właściciel eksponatu karę każdorazową w wysokości 3 zł.

11) Informacji wystawcom udzielają Członkowie Komitetu Wystawy, zaopatrzeni w specjalne odznaki.

12) Wystawcy obowiązani są przestrzegać przepisy Komitetu Wystawy i stosować się do wskazówek Członków Komitetu. Każdy wystawca ma prawo do otrzymania jednego biletu wejścia na Wystawę bezpłatnie, a o ile żąda więcej biletów płaci normalne ceny.

Ocena eksponatów przez sędziów nie podlega zmianie. Dowód na przyznane nagrody otrzymują wystawcy następnego dnia, po ekspertyzie.

UWAGA: W razie potrzeby Komitet Wystawy ma prawo nakazać natychmiastowe usunięcie eksponatu z Wystawy i z tytułu tej decyzji, wystawca nie może mieć żadnych pretensji do Komitetu. Sprzedaż eksponatów musi być rejestrowana w biurze Wystawy, które pobiera od sprzedawcy i kupującego po 5%, od ceny sprzedanych eksponatów. Przed zamknięciem Wystawy, eksponatów zabierać nie wolno. Usunięcie eksponatów z Wystawy musi nastąpić nieodzownie 3 czerwca 1925 r.

WIOSNĄ, GDY MIŁOŚĆ SIĘ BUDZI W POLESKIM MSZARZE.

(Z wiosennych wrażeń).

1

Wywiady moje o tokach głuszcowych, z różnych stron Polesia na wiosnę 1924 r. nie były pomyślne.

Pomimo wyjątkowo dobrego stanu głuszców w tym roku, toki z powodu chłodnej spóźnionej wiosny były wszędzie jakieś nieokreślone, rozbite na drobne tokowiska, nieskoncentrowane.

Z jednego tylko miejsca, mało uczęszczanego przez panów myśliwych kilkakrotnie sygnalizowano mi „hłuchariw, hybel, hrajut, tylko, pryizżajte", ale że autor tych kuszących sygnałów Hryhor miał u mnie opinję zbyt krańcowego optymisty, a przytem różne moje sprawy z innych życiowych dziedzin niezbyt sprzyjały marzeniom myśliwskim, więc wracając często myślą do tej pokusy, nie mogłem jej w czynów stal przyoblec.

Miałem już nawet parę terminów wyjazdu z przemiłym towarzyszem wypraw łowieckich, inżynierem F., zaprojektowanych, ale stale coś jak nie jemu, to mnie na przeszkodzie stawało.

Wreszcie, w połowie kwietnia, w ostatnich już prawie dniach sezonu na kilka dni przed świętami Wielkiej Nocy, która dla poleskiego „ochotnika" traci cały urok tego święta Wiosny, jeżeli na stole, albo przynajmniej za oknem niema tradycyjnego poleskiego koguta, ustaliliśmy termin wyprawy. Niestety w dniu wyjazdu znowu coś niespodziewanego djabli nadali, więc mój towarzysz

wyjechał sam, a ja miałem dojechać o jedną dobę później.

Kląłem w duchu i realnie swój los, a myślą więcej byłem w drodze do zaczarowanego mszarutokowiska z inżynierem F., jak przy sprawie która mię zatrzymała i moim interesancie, który (niech mu Św. Hubert tego nie pamięta) był także dobrym myśliwym, no ale trudno; kochając się bez wzajemności w przedwiośniu mojego życia, coś w okresie pierwszej klasy gimnazjalnej, w mocno leciwej swojej kuzynce więcej przecierpiałem, a jednak żyję, więc i ten dzień męki myśliwskiej przeżyłem bez targnięcia się na własne życie, a późnym wieczorem zabrałem się do przygotowania zapasów amunicji, aprowizacji i wszystkiego tego, co z taką parodniową wyprawą w poleskie bezludzia jest związane.

Pociąg mój odchodził o trzeciej nad ranem, a że miałem przeszło trzy godziny koleją normalną, tyleż wąskotorówką i cośkolwiek jeszcze bez żadnego już toru żelaznego, ale zato po najnormalniejszym torze poleskim — kładkach drewnianych przez błota, więc przyszło mi na myśl, jak niesłusznem jest ogólne twierdzenie polskich myśliwych o braku zainteresowania się naszych władz państwowych ochroną zwierzyny. Przecież taki rozkład pociągów, przy którym o południu dociera się do miejsca polowania jest najlepszą zwierzyny ochroną i napewno nie bezmyślnie, ale właśnie z tą premedytacją został w ciszy gabinetów naszego ministerjum kolei ułożony.

Z temi reminiscencjami zająłem miejsce w wagonie i wkrótce, ukołysany miarowym stukiem kół, zadrzemałem, śniąc o rozkoszach myśliwskich najbliższej przyszłości i zazdrośnie marząc o tem, jak w tej właśnie chwili mój towarzysz wyrusza już z gajówki na mszar, a może już stoi pod pieśnią i czeka tylko świtu, ażeby spuścić posadzonego koguta. Półświadoma wyobraźnia odgłosy biegnącego pociągu przeistacza w oddzielne fragmenty głuszcowej pieśni: głośniejsze stuknięcia kół w styki szyn przypominają w sennej wyobraźni kłapania wpadającego w ekstazę głuszca, aż wreszcie już realniej słyszę tych kłapań całą gamę. Koła „zaszlifowały“ po szynach i hamulcach, budnik kieszonkowy zatrzeszczał w kamizelce i pociąg stanął na stacji mojego przeznaczenia.

Wiosenny, dosyć pogodny, choć niezupełnie pewny poranek był już na dworze.

„Nienormalny“ pociąg stał już naładowany na sąsiednim torze, pracujący samowarek niecierpliwił się przed ruszeniem, więc za chwilę znalazłem się z mojemi ruchomościami „załadowany“ przez uprzejmego zawiadowcę stacji na pusty wagonik, a po kwadransie już mię wściekle miotało po wykoszlawionych i powybijanych lilipucich szynach wąskiego toru. Polecając duszę Bogu i trzymając się kurczowo za co tylko uczepić się było można, zerkałem w miarę możności na otaczający pejzaż.

Z gęstego, bardzo obiecującego, jodłowego młodnika wypadliśmy z wielkim hukiem, zgrzytem na zakrętach i trzaskiem potrącanych się wzajemnie wagoników na beznadziejnie smutne, usiane osmalonymi pniami poręby. Łyse, piaszczyste wzgórza, smutek i cisza.

„Pociąg“ traci coraz bardziej początkowy, wściekły animusz, przechodzi w pracowite, coraz więcej niepokojąco spokojem miarowe postukiwanie i wreszcie osiąga tempo równające się melancholijnemu truchcikowi poleskiego „wózka“ Mój współpasażer, który mi przybył w najwścieklejszem tempie jazdy, z gęstwiny leśnej, wyraża zasadniczą obawę czy „wtiahne na horu“, ale pesymizm jego nie sprawdził się, bo „horu“ wzięliśmy wprawdzie nie bez trudu, ale znowu pędzimy z brawurą na złamanie karku z góry i wpadamy na bezbrzeżne moczary, pokryte miejscami wysoką trawą, głęboko wypalonemi miejscami, jamami torfowemi i wijącą się kręto po środku rzeczułką.

Postój kilkunastominutowy dla nabrania wody. Samowarek pracowicie pompuje życiodajną dla siebie siłę, puszczając rdzawe, tłuste plamy ściekających smarów z prądem szybko płynących wód wiosennych.

Kaczki zrywają się po obu stronach toru i widać ich dużo przelatujących w różnych kierunkach po bagnie.

Po odległych brzegach przylegających zarośli słychać kłótliwe bulgotanie tokujących cietrzewi.

Po nabraniu wody ruszamy dalej i znowu zmiennem tempem, od lotu ptaka do kroku żółwia przechodząc, stajemy wreszcie o południu u kresu naszej podróży w labiryncie nieskończonych sztabli opałowego drzewa, przy skleconej z desek tak zwanej „stacji“.

Wysłany po mnie przez „nienormalnego“ inżyniera (od wązkotorówek) łącznikowy „Siomka“ jest pierwszym widocznym znakiem pobytu w tem pustkowiu mojego towarzysza.

Dzielimy się, coprawda niezupełnie ściśle, na dwie „połowy“ moim bagażem i „piechotoju“ ruszamy tym trzecim już dla mnie w tym dniu trybem do „hojowoho“ Hryhora.—„Daleko bude ity“? — „Wierstok dwi bude. Za hodynu zajdemo“.

To ostatnie określenie jest dla mnie realniejsze, bo „wierstok“ poleskich nigdy, choć jestem urodzonym poleszukiem, jakoś nie mogę sobie uprzytomnić, chyba że są jeszcze bliżej określone tak zwanym „hakom“ (z okładem).

(*d. c. n.*). *Teodor Tołłoczko.*